

MŁODY ŻEBRAK, OBRAZ HISZPAŃSKIEGO MALARZA MURILLO.

Obraz ten umieszczony jest w muzeum Luwru w Paryżu.

Skóra młodego żebraka stwardziała i opalona, zaledwo pokrytą jest łachmanami; siedzi w nędznym zakącie, zajęty czynnością, której szczere oddanie było by zuchwalstwem w pospolitym malarzu; stara się uwolnić od udręczeń za nieczystość swego odzienia. Owoce w starym koszyku, dzban wody, gatunek raczków morskich na pół ogryzionych, niewiedzieć czy są przygotowaniem, czyli szczątkami lichego obiadu. Nieszczęśliwi podobni są sobie we wszystkich krajach; mało zazwyczaj mają kostiumu, a charakter ich twarzy, pospolity jest wszystkim cierpiącym. Jest to jedna wielka rodzina, której osoby tylko wiekiem się różnią: najmłodsi okazują w rysach pozór siły jeżeli nie zdrowia; ich nałogi ciała przypominają często zwierzęta, które dla wielu z nich bywają sposobem do życia; wielka ruchawość wyrazu, udana pokora, śmiałość prędko się w głębi fizyognomii zjawiająca, a nadewszyst-

ko zupełna obojętność na jutro, a nawet na kwadrans nadchodzący, są głównemi ich znamionami.

Bartholomeo Esteban Murillo, najsławniejszy malarz hiszpański, pochwycił w tym obrazie ideał téj klassy ludzi, i pewno, że kraj jego dostarczył mu dosyć do tego wzorów, na które się od pierwszéj zapatrywał młodości. Urodził się w miasteczku Pillas w blizkości Sewilli, i pod okiem stryja swojego Jana de Castillo, doskonalił się w malarstwie, a zyskawszy niejaki fundusz z przedaży małych obrazków nabożnych i kwiatów, wysyłanych do Ameryki, dostał się do Madrytu, gdzie mistrzem jego i opiekunem był sławny Diego Velasques de Silva. Wstępem jego do sławy i względów Filipa IVgo, był mały obraz wystawujący człowieka niosącego wodę, z gołemi piersiami, któréj małemu chłopcu pić daje.

Nigdy Murillo nie opuścił Hiszpanii. Fałszywie piszą niektórzy, że odbył podróże do Włoch i Wschodnich Indyi. Wzorami dla wrodzonych jego zdolności były tylko obrazy w Eskurialu. Za szczególne wzory obrał sobie Pawla Versonese i Wandycka, których jednak nie jest naśladowcą. Rodzaj jego obrazów jest oryginalny, i żaden malarz nie przewyższa go w przyjemności i harmonii kolorytu, tudzież w światłości i mocy rysunku. Zarzucić mu można gdzie niegdzie nieszlachetność i brak delikatności.

Największą część dzieł swoich, malował dla kościołów w Sewilli. Dwadzieścia trzy obrazów jego, zamówionych przez konwent kapucynów, wywiezione zostały przez nich do Ameryki. Gdy w Kadixie kończył obraz S. Katarzyny, spadł z rusztowania, wskutku czego żyć przestał, mając lat 75.

Trumnę jego niosło do kościoła S. Krzyża w Sewilli, dwóch Markizów i czterech Kawalerów różnych stopni, co w Hiszpanii wielkim jest zaszczytem. Szlachta Hiszpańska całe życie go poważała. Karol IIgi nadał mu tytuł pierwszego malarza dworu, czego on jednak nieprzyjął, przestając na wygodnéj mierności. Minister spraw zewnętrznych don Jozeph de Vettia zaślubił jego siostrę, a synowie jego otrzymali kanonie i prebendy.

Muzeum w Luwrze ma 7 obrazów tego artysty. W roku 1814, marszałek Soult ofiarował Ludwikowi XVIII trzy obrazy Murilla, dane sobie przez miasto Sevillę, które póżniéj oddano do Hiszpanii.

KAPITAŁ.

Jasną jest rzeczą, że każdy, jakkolwiek znaczny swój dochód wydający, nie może przeto publicznéj zamożności uszkodzić, jedyna strata jest w tém, co on osobiście spożyje, reszta przechodzi do tych, którzy dla niego coś robią, bądź, czy ich w naturze czy pieniądzmi nagradza, co na jedno wychodzi. Gdyby ci ludzie otrzymali od niego podarki zamiast zapłaty, wtedy nie byłoby w kraju ani więcéj zboża, ani wyrobów, ale te osoby zostałyby bez zatrudnienia; żyćby musiały z jałmużny, nie z pracy rąk swoich; a dla nich samych lepiéj jest być zajętemi, choćby najlichszą fraszką.

Ale największa część pieniędzy puszczanych w obieg użytą bywa *korzystnie*, to jest na coś, co większy przychód, niż wydatek przynosi; w ten to sposób zwiększają się bogactwa kraju. Jeżeli zamiast zająć rzemieślników zakładaniem ogrodu, lub budowaniem letnich domków, użyją ich do rolnictwa, stawiania młynów i t. p. wtedy wartość zboża i mlewa przewyższy wydatek, jeżeli dobrze był prowadzony, a zamiast straty kapitału, jak w pierwszym razie, jeszcze go powiększą, i to zowie się zyskiem i użyciem kapitału.

Kto swojego kapitału tak użył, może go znowu po odebraniu w równy sposób używać, i rzemieślników corocznie zajmować, a jeżeli część zysku oszczędzi dla wcielenia jéj w kapitał, jak to czynią zwykle rolnicy i fabrykanci, wtedy corocznie większą rąk liczbę zatrudni i bogactw kraju przysporzy; może być iż celem jego jedynym jest zbogacić się samemu, zawsze jednak jest to sposób najpewniejszy przyczynienia się do dobra kraju.

Prawda, iż można zostać bogatym ze szkodą innych, i że, co wtedy jeden zyskuje przez grę, kradzież, podstępy, złą wiarę i t. d. to traci drugi, a bogactwo kraju bynajmniéj się nie zwiększa; ale jeżeli dostatek jego ma źródło w rolnictwie, przemyśle, sztukach pięknych, wtedy wszelki zysk jego jest oraz zyskiem krajowym.

Można użyczać swojego kapitału innym do obracania, sam nic nie pracując. Jeżeli rzemieślnik uzbierawszy 1,000 złotych, chowa je w skrzyni; dzieci jego odbiorą je bez podwyższenia; jeżeli na wydatki co rok 50 złotych z nich ujmie, tedy w roku dwudziestym nie będzie miał nic; lepiéj więc oddać te pieniądze przemyślnemu, mogącemu zaręczyć zwrot onych z procentem 4 lub 5 od sta; co tenże chętnie uczyni, gdy używając ich na wyroby lub sprzęty, zarobić może 1,100 złotych, tak, że oddając 1,050 złotych długu, drugie 50 jemu zostanie.

Tym sposobem znaczna część kapitałów puszczonych w handel, nie należy do tych, którzy ich używają.

Im więcéj kraj ma kapitałów, tém lepiéj mają się rzemieślnicy, bo im mniéj panowie mają pieniędzy, tem mniéj rąk użyć mogą. Wystawmy sobie człowieka ubogiego w miejscu nowo osiadłém, żądającego pomocy sąsiada do rolnéj pracy z obietnicą części zysku; ale ten także ubogi, żąda dziennéj zapłaty, bo do żniw nie może czekać. Jeżeli pierwszy dać jéj nie może, mając tylko na swoją potrzebę, to jest nie mając kapitału; wtedy ziemia zostanie bez uprawy, a osadnik żyć będzie

musiał z polowania lub rybołowstwa. Ten los trafił by wszystkich zostawionych własnym środkom, nawet na ziemi żyznéj, i pozbawionych własności któréj mogliby użyć, bo z razu mieli by wiele trudności do pokonania; ale choćby zarobili cokolwiek, mieliby trudność zrobić coś więcéj: bo przysłowie *z niczego nie będzie nic*, aż nadto jest prawdziwe; praca bez pomocy kapitału, zaledwo wykonywaną być może. Zboże jest owocem pracy, ale najprzód trzeba dostatecznego zapasu ziarna, aby niém pole obsiać i wyżywić się aż do żniwa. Narzędzia rolnika zrobione są innemi narzędziami; rękojeść siekiery którą ścina się drzewo, jest z drzewa, siekiera żelazna żelazem tylko wydobytą być mogła z kopalni; tak jest we wszystkich rodzajach pracy. Ztąd łatwo pojąć, jak postęp ludzi musiał być we wszystkiém powolny i trudny, kiedy pałki lub zaostrzone kamienie jedynemi były narzędziami.

Ztąd wypływa, że mieszkańcy kraju, gdzie jest niedostatek kapitałów, mimo małéj ludności, i konieczności pracowania wszystkich na życie, gorzéj się żywią, ubierają i mieszkają, aniżeli ubożsi w krajach bogatszych, ludniejszych, i gdzie wielka część ludności wyjętą jest od pracy ręcznéj.

(*Dokończenie nastąpi.*)

MŁODZIENIEC URATOWANY.

(*Legenda z Herdera.*)

Miło jest znaleść piękną duszę w młodym człowieku, miléj jeszcze taką w nim utrzymać, ale najmiléj uratować zepsutą.

Swięty Jan, wracając z wyspy Pathmos, został, czém bywał dawniéj, pasterzem swéj trzody. I wybierał dla niéj stróżów, bacząc na ich przymioty. W tłumie innych, postrzegł pięknego młodzieńca; któremu wesołe zdrowie na twarzy jaśniało a z oczu przemawiała dusza pełna szlachetnego ognia.

« Tego młodzieńca, rzekł do biskupa, weź w twoją opiekę. Wierność twoja będzie mi za niego zakładem, a na to, biorę za świadka Boga, i całą tę rzeszę ludu.

Biskup wziął do siebie młodzieńca, nauczał go, i widział najpiękniejsze owoce; gdy zatém mógł mu zaufać, zwolnił nad nim surowy dozór.

Ale wolność stała się sidłem dla młodzieńca, ułudzony słodkiemi pochlebstwy, zaczął próżnować, szukał saméj roskoszy, za nią ścigając wpadał w coraz większe bezdroża. Raz ujrzał się zmuszonym do kłamstwa, wnet już potém nie tylko kłamał, lecz stał się oszukańcem, oszukaństwo gdy się powiodło, zrodziło w nim zarozumiałość, a ta odebrała mu wstyd i sumienie, ztąd wyrosła duma i chęć przywodzenia innym. Zebrał około siebie towarzyszów, których zepsuł, wyciągnął z nimi w lasy, i był naczelnikiem rozbójców.

Gdy Jan znowu w te strony powrócił, pierwszém jego pytaniem do Biskupa było, « gdzie jest mój syn? Umarł odpowiedział starzec, i spuścił oczy. » Jak i gdzie? Umarł Bogu; jest teraz, niestety! rozbójcą. — Odpowiesz mi za duszę jego, rzekł Jan. Ale gdzież on jest? Jest na téj górze. — Muszę go widzieć.

Jan zbliżył się do lasu. Wnet, jak sobie życzył, został pochwycony. Prowadźcie mię rzekł, do naczelnika waszego. — Zbliżył się do młodzieńca, lecz ten się odwrócił i znieść nie mógł tego widoku. — Nie uciekaj synu od starca, od bezbronnego ojca! Jam cię Bogu poświęcił, i muszę mu odpowiedzieć za ciebie. Chętnie jeżeli chcesz, dam życie za ciebie, ale odtąd opuścić cię nie mogę. Ja moją duszę Bogu w zakład za ciebie dałem.

Płacząc, objął młodzieniec starca w swoje ramiona, milczący zakrywał twarz swoję, i zamiast odpowiedzi, łez strumień wytrysnął mu z oczu.

Jan upadł na kolana, ucałował oblicze młodzeńca, i jakby nowo zyskanego, uprowadzał z gór, i płomieniem miłości ogień jego oczyścił.

Długie lata, żyli odtąd z sobą nierozdzielnie. I w pięknego młodzieńca, cała się dusza Jana przelała.

I cóż to było, co serce młodzieńca, tak głęboko poznało i zniewoliło? Co go na nowo wynaleść i zwyciężyć mogło? — Wiara, stałość, miłość i prawda.

CHOROBA.

Choroba wtedy powstaje, lub nabiera mocy zatrważającéj, gdy ją obudzamy i żywimy wierząc w jéj istnienie. Widzimy wiele ludzi zdrowia bardzo delikatnego, którzy jednak zajęci zawsze obowiązkami swojego powołania, literalnie mówiąc, nie mają czasu chorować; ale niech ci oddadzą się bezczynności, a wnet zaczną rozważać w sobie choroby, czuwać zawsze, wszystkiego się obawiać i wszystkiém leczyć, a tak wywołają sami niebezpieczną chorobę i śmierć, która od nich daleką była. Stal używana, zawsze się połyskuje i błyszczy, ale bezczynną rdza pożera.

MYŚLI.

Młodzi mówią o tém co czynią, starzy co czynili, a głupcy, co by radzi czynili.

Zasadą życia publicznego i domowego jest: tak działać, jakby wszystko w świecie szło dobrze.

Milczenie jest to jedyny dowcip głupiego; a jedna z cnót mądrego.

Jeżeli cnota i zbrodnia nie otrzymują na ziemi zapłaty, to dla tego że czas niewystarczył.



POŁOW WIELORYBA, W STAROŻYTNOŚCI I W NOWSZYCH CZASACH.

PRZYGOTOWANIE DO ŁOWIENIA WIELORYBÓW.

Ze wszystkich połowów odbywanych po różnych morzach, bez wątpienia najtrudniejszym i najniebezpieczniejszym jest połów wieloryba. Lubo ten olbrzym morski nie jest tak wielki, jak go opisali niektórzy autorowie, i jak jeszcze dziś wielu mniema, i lubo wieloryb pospolity będący wyłącznie przedmiotem tych wypraw, daleko jest mniejszy od bezzębnego, łatwo jednak pojąć, że zawsze zbyt jest śmiałém przedsięwzięciem targnąć się w jego żywiole na zwierze, którego średnia długość wynosi najmniéj 60 stóp. Przedsięwzięcie to nawet w starożytności uważano za przewyższające siły ludzkie i Job przytacza je za przykład słabości człowieka w porównaniu z Wszechmocnością Boga.

Za cesarza Klaudyana wyszedł wieloryb na piasek w porcie Ostyi: zagrodzono mu powrót linami, i dopiero po przybyciu cesarza uległ pod ciosami łuczników straży pretoryańskiéj. Było to tylko nadzwyczajne widowisko, bo nie korzystano ze zwłok zwierzęcia, i zdaje się, że nie myślano powtórzyć podobnéj wyprawy w jakim użytecznym celu.

Król Maurytanii Juba, mówiąc o pewnym gatunku wielorybów, które gromadnie wpłynęły do jednéj rzeki i tam pozdychały, przytacza że kupcy poszukiwali z nich oleju. Jednak użytek ten tak był mało znany, że Pliniusz mówiąc o czterdziestu dwóch gatunkach tłustości, niewspomina nawet o tłustości rybiéj. Była to zapewne tłustość pływająca po wodzie, w koło ich ciał na pół rozkładowi uległych, do nacierania wielbłądów dla zabezpieczenia ich od ukąszeń szkodliwych owadów.

Kiedy nieżywy wieloryb zjawił się na którym brzegu, krajowcy uważali to za prawdziwe nieszczęście, dla nieprzyjemnego zapachu jaki trup wydawał; a mieszkańcy Bun, jak mówi Plutarch, przypisywali zaraźliwą chorobę, pustoszącą ich miasto, wyziewom z ciała takiego wieloryba, którego morze wyrzuciło na brzeg sąsiedni.

Jednak małe gatunki wielorybów, były koło tego czasu, jak się zdaje, przedmiotem połowu dosyć ważnego na morzu Greckiém. Starano się o nie nie dla tłustości lecz dla mięsa. Dziś mięso to zdaje nam się odrażające, lecz dawniéj bez wątpienia nie byli ludzie tak delikatni; wiemy że w średnich wiekach targi ryb szczególniéj w poście, napełnione były świniami morskiemi.

Bez wątpienia połów wielkich gatunków delfinów, przez mieszkańców całego nadbrzeża zatoki Biskajskiéj, poprzedził połów wieloryba, będący teraz przedmiotem znacznego przemysłu. Gdy wszakże wieloryby, które na początku naszego wieku, w tych okolicach dosyć często znajdowano, ztamtąd się odda-

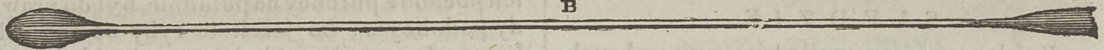
liły, Biskajczycy poszli daléj ich szukać, a nie mogąc po każdym połowie powracać do portu, zmuszeni zostali używać statków takich aby mogły objąć zdobycz z całéj pory połowu, i aby na ich pokładzie umieścić można piecyki do topienia tłustosci.

Pierwsze wyprawy Anglików na połów wielorybów, nie wiele są późniejsze od wypraw Biskajczyków, Asturyjczyków i Gaskończyków, istnieją bowiem dokumenta dowodzące wykonywania podobnych przedsięwzięć, roku 1324. Lecz w tym czasie żeglarze ukształceni w Anglii, nigdy nie wyrównali wychodzącym z różnych portów zatoki Biskajskiéj, a podróże ich w ogólności, tak mało przynosiły korzyści, że aż do XVI wieku, gałąź ta przemysłu mało się u nich krzewiła. Ożywiła się ona nagle po pierwszych podróżach do zatoki Hudsońskiéj; lecz skoro tylko dowiedziano się w Europie, o korzyściach jakie zdawał się obiecywać połów w morzach pułnocnych, Hollendrzy którzy przed niewielą laty zawiązali kompanią Wschodnio-Indyjską, pomyśleli zaraz, że równy zysk odnieść by można przy biegunie, jak między zwrotnikami, i nie zaniedbując pierwszego przedsięwzięcia, prowadzili drugie z równąż wytrwałością. Czując, że nie potrafią od razu takiéj nabyć biegłości, w tym połowie, jak ludzie ktorzy się nim od wieków trudnili, zaczęli najmować Biskajczyków, a tak z początku pojętni uczniowie, w krótce zostali biegłymi nauczycielami, i mogli się obejść bez wszelkiéj obcéj pomocy. Lecz Anglicy poprzedziwszy Hollendrów, na tych morzach czterema latami, umyślili ich ztamtąd wyprzeć, i to było początkiem kroków nieprzyjacielskich, wybuchłych w czasie pokoju r. 1617. A gdy inne narody niechciały równie jak Hollendrzy zezwolić na żądania Anglików, wojna stała się powszechną. Wreszcie rybacy widzieli się zmuszonymi dla własnéj swéj korzyści, podzielić między siebie to morze, i naznaczyć sobie granice. Lecz w téj ugodzie Francuzi tak mało znaczące zajmowali miejsce, że wyłączenie zupełne nie byłoby tyle poniżające, ile warunki pod któremi otrzymali nędzną cząstkę.

A



B



(RYCINA A, OZNACZA, HAK, — B, DZIRYT.)

Biskajczycy jakośmy powiedzieli, wytapiali tran, w miarę zabitych wielorybów. Hollendrzy bojąc się ognia, nie chcieli topić tłustości na okręcie, i w początku zachowywali ją w baryłkach aż do powrotu. Gdy z tego powodu wypłody ich były droższe i gorsze, kompania założyła w Spitzbergu faktoryą, gdzie wszystkie okręty łowiące na wschodzie Grenlandyi, zwoziły swój surowy materyał, i przerabiały na tran. W wiosce nazwanéj *Smeerenberg* (od słowa smeeren, topić), w porze połowu, panował ruch nadzwyczajny. Przychodziły tam towary wszelkiego gatunku, i tyle tamże znaleść można było przedmiotów zbytku i wygody, jak w Amszterdamie.

Zakład ten ciągle kwitnął, aż do czasu w którym z powodu oddalenia się wielorybów z owych miejsc, rybacy przestali tam uczęszczać. To miało miejsce stopniowo, w przeciągu lat 10, od 1660 do 1670, aż wreszcie rozpoczęta wojna, zmusiła zupełnie opuścić tę osadę, a teraz nie wiedzą nawet dokładnie jéj położenia.

Tak miejsce połowu nader prędko zmieniano, i w bardzo krótkich przeciągach czasu. Angielscy rybacy uważali przed dwunastą lub piętnastą laty, brzeg wschodni Grenlandyi, za najlepsze stanowisko do połowu; dziś ta część morza jest zupełnie opuszczoną; okręty przebywają, nie zatrzymując się, cieśninę Davis; dla dostania się do zatoki Bafińskiéj na przeciwnym brzegu Grenlandyi; połowy są tam teraz bardzo korzystne, lecz niebezpieczniejsze niż gdzie indziej, z powodu pływających nader licznych gór lodu, które corocznie strzaskają kilka okrętów.

Okręta dziś do połowu wielorybow używane są pospolicie o 350 do 450 beczkach z załogą, 30 do 45 ludzi, licząc w to kapitana, chirurga i sterników w stopniu oficerów. Każde czółno ma 4 do 6 wioslarzy, sternika i hacznika. Główne narzędzia są: Dwa haki (A,) i sześć do ośmiu dzid, (B,) (patrz rycinę.) Żelazny drąg haka ma około 3 stóp długości, zakończony jest osadą, w którą wbijają rękojeść służącą do rzucania go. Rękojeść tę stanowi kij długi pięć stóp; do tego przytwierdzona jest lina czyli *linia* jak mówią marynarze, gruba 21 linii, a długa 135 naręczy. Dziryt nie ciska się jak hak, pozostaje ciągle w ręku, długość jego jest 13 do 14 stóp, licząc w to ośmiostopowy drzewiec.

Gdy statek przybędzie w okolicę, gdzie spodziewają się znaleść wieloryby, człowiek jeden zostaje ciągle na straży, na wierzchu masztu. Skoro tylko wskaże wieloryba, spusz-

czają natychmiast łodzie na morze, i starają się doń ostrożnie zbliżyć. Przybywszy do przyzwoitéj odległości, człowiek stojący na przodzie ugadza go ze wszystkich sił trzymanym w ręku hakiem. Wieloryb czując się zranionym, pospolicie ciska gwałtownie ogonem, coby mogło uszkodzić łodź, gdyby nie starano się zboczyć od kierunku w którym cios ma być zadany; natychmiast zanurza się wieloryb, i porywa z nadzwyczajną gwałtownością linę przywiązaną do haka. Tarcie liny téj o brzeg łodzi, mogło by go zapalić, gdyby nie lano w to miejsce wody.

Blizko w pół godziny wieloryb znów wypływa na powierzchnią, ale w znacznéj odległości od miejsca w którém się zanurzył, lecz ponieważ z różnych znaków łatwo poznać można, w jakim kierunku płynie; starają się być blizko niego w chwili gdy wypływa. Dla większéj pewności ugadzają go drugim, a nawet i trzecim hakiem; poczém uderzają nań z dzirytami. Skoro zostanie zabity, ciągną go do statku, wybierają tłustość, wyjmują fiszbin, a ciało zostawiają ptakom morskim, niedźwiedziom i delfinom.

Czas potrzebny do łowienia wieloryba jest bardzo różny. Niekiedy zabijają jednego wprzeciągu puł godziny, gdy tymczasem dla schwytania drugiego, potrzeba dwóch dni.

(*Dalszy ciąg poźniéj nastąpi.*)

SLEDZIE.

Każdemu znane są śledzie, owe ryby tak małe i powszechne, które są zrzódłem bogactwa niektórych ludów. Najciekawszém jest zjawienie się onych w pewnym czasie, prawie na wszystkich punktach brzegów morskich. Co rok w lecie i w jesieni przybywają do brzegów Europejskich w niezmiernéj massie, w jednym czasie zjawiają się w Ameryce i na brzegach pułnocnych Azyi.

Z kąd przychodzą i dokąd ciągną te wojska w ściśniętych kolumnach, zajmujące często kilka mil długości? Jest to pytanie nierozwiązane, i dotąd różnią się w niém najznakomitsi naturaliści. Jedni utrzymują, iż w epokach oznaczonych, udają się ku krainom biegunowym szukać pod lodami schronienia, i że nie znajdując tamże więcéj żywności dla ogromnéj swéj liczby, z początkiem każdéj wiosny, wielkie oddziały ku południowym krainom wysyłają. Te oddziały podzielone są na dwa wielkie wojska, których ogromne części pokrywają powierzchnię morza. Jedne ciągną około brzegów Islandyi, i rozszerzając się nad mieliznami Nowéj Ziemi, zaludniają odnogi lądu Amerykańskiego; inne posuwają się wzdłuż brzegów Norwegii, przechodzą do Baltyku; gdzie okrążając Orkady, posuwają się między Islandyą i Szkocyą, i dochodzą aż do Hiszpanii, rzucając się na brzegi Francyi.

Przeciwnie inni naturaliści zaprzeczają téj osobliwéj podróży. Opierają się na tém, że często kilka lat upłynie, gdy śledzi wcale nie widać w tych miejscach morza, które za główną ich drogę są uznane, gdy owszem wielkie ich mnóstwo spotykać można, w punktach zupełnie przeciwnych. Dodają że ich wielkość często się zmienia według wody, w któréj się mieszczą, co oznaczać by mogło, że tamże długo bawiły. Jeżeli z resztą te ryby wędrują, możnaby wiedziéć, co w drodze z niemi się staje; ale widziano wielkie ich massy płynące od pułnocy, nikt jednak nie dostrzegł ich powrotu. Insi, może najbliżsi prawdy, utrzymują, że śledzie zaludniając głębię morza, opuszczają go tylko dla złożenia ikry około brzegów przy ujściu rzek. Temu mniemaniu wiele wagi dodaje postrzeżenie, iż nigdy pomiędzy dużemi, małych śledzi nie widziano, i że wszystkie złowione samce, są pełne mlecza, a samice pełne ikry. Wynikłością tego systemu byćby powinno, że w końcu pory, łowićby można wiele śledzi próżnych, co też istotnie się zdarza..

Jest jeszcze inne, nie mniéj utwierdzone mniemanie. Uznano już powszechnie, że śledzie zjawiają się w czasie ikrzenia, i że ikrę składają u wszystkich brzegów, które mijają. Cóż się staje z temi malemi rybkami? Czy widziano je łączące się w gromadę, i ciągnące na pułnoc, aby, gdy urosną, wracały? To bowiem przypuścić trzeba, ażeby tak liczny ich pochód z pułnocy na południe, był do prawdy podobnym; bo jeżeli te ryby na naszych brzegach swą ikrę składają, to nie składająjéj w stronach lodowatych. Z większą pewnością przypuścić można, że śledzie ledwo zrodzone, zstępują w głębie morza, i tam rosną, znajdując mnóstwo robaków, i małe jaja ryb, które najwięcéj lubią, i że na morskiéj powierzchni okazują się, gdy zupełnie dorosną i znowu zapłodniać się mogą.

Cóżkolwiek bądź, czy z dalekich krajów przychodzą, czyli się z głębi morza wynurzają, to pewna, że opuściwszy siedlisko zimowe, postępują w massie niezmiernéj, w największym porządku, poprzedzone oddziałem największych i najśmielszych. Wieloryby, psy morskie, wszystkie ryby żarłoczne i ptaki drapieżne, wielką mają z nich zdobycz, któréj nawet nie widać w ich ściśniętych szeregach; ale człowiek sam większym jest ich wrogiem, niż wszystkie inne stworzenia.

Nie masz odnogi, w któréjby ich milionami nie łowiono; obliczono, że sama Norwegia, co rok 400 milionów ich łowi, a jedno miasto Gothenburg w Szwecyi 700 milionów. Francya, Hollandya, Szkocya, i Islandya, i Stany Zjednoczone, łowią ich miliardami. A jednak ich massy zawsze są ściśnięte, połów zawsze obfity i owa massa pływająca, nigdy nie wyczerpana.

Łowienie śledzi jest bardzo dawne. Hollandya prowadzi spór o pierwszeństwo dawności w tym względzie z miastami *Calais* i *Dieppe*.

Najprzód łowiono je wzdłuż brzegów, ale później urządzać zaczęto floty na przeciw téj łatwéj zdobyczy. Były lata, w których Hollendrzy wysyłali w tym celu na morze więcéj jak trzy tysiące statków mieszczących po czterysta pięćdziesiąt ludzi. Francya niemniéj była czynną. Używają do tego sieci mających pięćset do sześćset sążni. Niegdyś robiono je z nici, ale gdy te rok tylko trwały, zastąpiono je sieciami jedwabnemi, które trzy lata trwają. Przegrody powinny być przynajmniéj na cal szerokie, i być uczernione aby się ryby nieprzestraszały. Puste beczki, albo kloce korkowe, utrzymują sieci na powierzchni wody, kamienie zaś i ołów', utrzymują część niższą w stosownéj głębokości.

Rybacy poznają przybycie śledzi po szczególnym ruchu wody przez dzień, i po pewnym blasku przez noc. Łyski i inne ptaki drapieżne, są także znakiem ich obecności. Do zarzucenia sieci wybierają powszechnie czas pomroku; i zapalają ognie na brzegach, aby śledzie przywabić. Wielkość sieci nie dozwala, aby je ręką kierować; za pomocą więc windy wrzucają je i wyciągają z wody. Ryby wpychają głowy w przegrody sieci, aby się przez nie przecisnąć. Częstokroć w jednéj chwili całą sieć obsiędą; czasem potrzeba długo czekać i na lichym przestać połowie. Często połów przerywany bywa przez psy morskie, które się przez sieci rzucają i takowe targają, albo których napad sprawia, że śledzie zupełnie kierunek zmieniają.

Oprócz zużycia na miejscu, wynaleziono sposób przyrządzania śledzi, aby na całą ziemię rozsyłane być mogły.

Sztukę zasalania wynalazł jeden Hollenderczyk, przez co niezmiernych bogactw krajowi swojemu przysporzył. Dotąd śledzie hollenderskie uważane są za najlepsze w Europie. w Dieppe wynaleziono nierównie ważny sposób wędzenia śledzi, które przeto są trwalsze i do przewozu łatwiejsze.

Tłustość śledzia wynosi dwudziestą drugą cześć jego wagi. Do otrzymania tejże dosyć jest śledźia gotować, a tłustość na wierzch wypłynie, która wyborną jest do palenia; reszta na spodzie naczynia osiadająca, dobrą jest na smarowidło.

Sposób zachowania śledzi dopiero w XV wieku wziął swój początek. Dawniéj łowiono je tylko do bezpośredniego zużycia; było więc jedynie zwyczajnym połowem to, co dziś jest częścią handlu tak wielką. Do téj zmiany potrzeba było tylko pomysłu biednego rybaka. Ileż jeszcze odkryć mogą poczynić pomysły niespodziewane!

WALKI BILBULOW.

Niektórym, nawet cywilizowanym ludom, niedosyć jest mordować zwierzęta dla zabawy, wynajdywać sposoby aby między sobą wzajem się mordowały, urządzać kunsztownie walki kogutow i byków, ale nadto w Kalkucie ulubione są jeszcze walki pewnego rodzaju słowików, zwanych Bilbule. Wiele kosztów łożą na to w tém mieście, aby je do walki wyuczyć, a więcéj jeszcze, aby je jedne przeciw drugim rozjątrzyć. Walka bilbulów odbywa się zwykle w jednym dniu pory zimowéj. 14 maja r. b. dwaj bogaci mieszkańcy Kalkuty, popisywali się przed liczną bardzo publicznością z skrzydlatemi swojemi wojskami. Bitwa rozpoczęła się rano, i wśród wielkiego rozjątrzenia stron obudwu, twała aż do drugiéj po południu, w którym to czasie, jedna strona z pola ustąpić musiała.

SZYBKOŚĆ KALANDRA.

Mały owad Kalander, robi 500 kroków w sekundzie, 30,000 w minucie, a 1,800,000 w godzinie. W tym stosunku, człowiek z równą szybkością, uszedłby 150 mil w godzinie. To zważywszy, nie trzeba się dziwić szybkości wozów parowych.

MACHINA DO WYMIATANIA.

W Bostonie w pułnocnéj Ameryce, jest machina, która ciągniena jednym koniem, kierowana przez jednego człowieka, ulice całego miasta zamiata.

NOWA ZEELANDYA.

Nowa Zeelandya składa się z dwóch wielkich wysp, przedzielonych tak zwaną drogą Cooka. O tych wyspach i ich mieszkańcach bardzo mało mamy wiadomości, i te ograniczają się tylko do nadbrzezów. Hollender Tasmann odkrył je r. 1642. Od tego czasu aż do r. 1769, gdy Cook do Nowéj-Zeelandii przybył, przez nikogo wyspy te zwiedzione niebyły. Późniéjsi żeglarze usiłujący tamże się dostać, tak srogo byli przyjęci od ich bitnych mieszkańców, rozjątrzonych dawniejszém srogiem obejściem się Europejczyków, iż sobie winszowali, że małą tylko stratą ludzi opłacili zapuszczenie się w głąb' ich kraju. To dało powód że tamtejsi mieszkańcy za lud najdzikszy obwołani zostali. Ale dziwić się niemożna, że ten lud nieuskromionéj natury oburzające okrucieństwa na Europejczykach spełnił, gdy wprzód od nich za gościnne i otwarte przyjęcie, największego zdzierstwa i pogardy doznawał. Jedno tylko zdarzenie niech tu za dowód posłuży.

Niektórzy z Nowéj-Zeelandii weszli z Anglikami w przyjazne stosunki, i oświadczyli chęć poznania Europejskich obyczajów. Téj proźbie z radością uczyniono zadosyć. Syn jednego naczelnika i kilku prostych jego ziomków, wsiedli na okręt Angielski i przypłynęli do Londynu. Kapitan Thompson otrzymał w roku



ZEELANDCZYK PIJĄCY Z TYKWY.

1809 rozkaz odwiezienia ich do wysp ojczystych. Wczasie żeglugi zniewolił ich tenże pełnić obowiązki majtków, co prości wyspiarze ochoczo i zręcznie dopełnili; ale syn naczelnika wzbraniał się stale od tego, zasłaniając się znakomitym swym rodem. Thompson nie tylko kazał go mocno obić, ale szydził z jego dostojności. Zaledwo Thompson z częścią ludzi swoich wylądował, gdy mieszkańcy uwiadomieni o hańbie syna swojego naczelnika, Anglików opadli i wszystkich wymordowali, nie przepuszczając nawet tym, którzy na okręcie zostali. Jedna tylko kobieta z dwojgiem dzieci i małym chłopcem którzy się schronili, uszli morderstwa.

Szkoda, że dotąd nie mamy pewniejszych wiadomości o tych ludach, którzy się w wielu względach od innych mieszkańców Australii odróżniają. Z odwagą stają przeciw palnéj broni Europejskiéj, i nie uciekają, jak to czynią prawie wszystkie dzikie narody. W wojnie są bardzo okrutni, co zupełnemu brakowi cywilizacyi przypisać należy.

Rzeczy im pokazywanych nie oglądają z zimną głupotą lub dziecinną ciekawością, jak inni dzicy, ale dochodzą jéj użytku. Nie można wszakże zaprzeczyć, że w innych względach mało od zwierząt się różnią, i że do najobrzydliwszych Kannibalów należą. Z zwierzęcą roskoszą ssą krew z konających nieprzyjaciół, a potém zjadają ciało w dole ziemi upieczone, w którym do tego kamienie rozpalają. Wielu chciało ich obronić od zarzutu ludożerstwa, jednakże obrzydły ich kannibalizm, świadczą wszyscy podróżni i Missionarze. Cook owszem mówi, o przesądzie u nich panującym, że jedząc ciało nieprzyjaciół największą zrządzają im hańbę, i duszę ich nieszczęśliwemi czynią. Zjadają więc tylko ciała nieprzyjaciół, ale nie swoich poległych, i bardzo oburzają się na pytanie, czemu swoich przyjaciół nie jedzą?

Sposób ich witania się po długiem niewidzeniu, okazuje równie ich surowość, jak czucie głębokie. Skoro naczelnik z wojny, lub dłuższéj podróży wraca, mieszkańcy wsi kupją się koło niego, padają na kolana, i krzyczą, rozcinając ostrym krzemieniem, których pewną liczbę zawsze na sznurku u szyi noszą, twarz, ręce i inne części ciała, dopóki krew strumieniem nie płynie. Jeden z tych Zeelandczyków wrócił raz z missionarzem z Anglii do swojéj rodziny. *Tui*, to było jego nazwisko, chlubiąc się przejęciem obyczajów angielskich, oświadczał, iż wróciwszy nie będzie krzyczał, ani płakał. Ale gdy ku niemu młody jeden dowódzca i przyjaciel się zbliżył, nie mógł się dłużéj wstrzymać, poskoczył mu do szyi i głośno płakał.

Tenże *Tui* był późniéj z swym bratem Korro-Korro w Anglii; Korro-Korro wielką u swoich miał sławę ze zwycięztw. Gdy tenże dziki wojownik do kraju wrócił, wystąpiły przeciw niemu kobiety i dzieci, a na ich czele stara matrona skrzywiona do ziemi, modląc się, postępowała, ledwo mogąc się długim kijem podpierać. Była to jego ciotka. Gdy Korro-Korro ją poznał, rzucił się jéj na szyję, trzymał swój nos o jéj nos oparty, i w téj postawie zostali przez kilka minut mówiąc z sobą głosem drżącym z wzruszenia, poczém puściwszy się pełnemu uczuciu rzewnemi łzami ulżyli. Ow dziki i zuchwały wojownik, stał przez kwadrans na fuzyi oparty, gdy łzy gęste mężkie lica jego zalewały. Potém zbliżyła się córka tejże kobiety, z którą taż, i jeżeli można, jeszcze rzewniejsza odbyła się scena. Ciotka tak gwałtownie płakała, że mata, która jéj za odzienie służyła, w całém znaczeniu wyrazu, zupełnie od łez przemokła.

Wsie, w których mieszkają są małe, i zwykle na górach. Ponieważ te wsie ciągle między sobą prowadzą wojny, przeto opatrzone są rowami i palami dla zabezpieczenia od nagłych napadów. Chaty są nizkie i chyłkiem do nich wchodzić potrzeba. Mieszkania naczelników, cokolwiek są większe.

Mężczyzni strzygą tył głowy, resztę włosów zwięzują u góry. Nadto noszą na głowie pióra niektórych ptaków morskich, które zwieszają się na skronie. Noszą zausznice i naszyjniki z małych ludzkich kości, które zwykle są pamiątkami zwycięztwa. Skóra ich jest brunatna, ubior ich składa się z zasłony przez pas i z deki na plecach. Zwykłym ich pokarmem są korzonki i ryby. Bardzo są zręczni w wyrabianiu narodowéj swéj broni, szczególniéj zwanéj *Petu-petu*, która podobną jest do naszego topora. Teraz przez stosunki z polującemi na wieloryby, mają także broń palną.

Powyższa rycina wyobraża mieszkańca Nowéj Zeelandyi pijącego z tykwy, pospolitego u nich naczynia.

WYDAWCY: Bossange père, Jan Glücksberg, Józef Kaczanowski, August Emanuel Glücksberg.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Rymarskiéj N. 744.